

# Zły fotograf

T  
O  
M  
A  
S  
Z  
B  
O  
R  
K  
O  
W  
S  
K  
I



Tom opowiada

**Tomasz Borkowski**

# **ZŁY FOTOGRAF**

**Tom opowiadań**

© Copyright by Tomasz Borkowski

Projekt okładki: Tomasz Borkowski

ISBN 978-83-967841-0-0

Wydawca: Tomasz Borkowski

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2023

## Atlas

- O, idzie Odarpi – powiedział wesoło Grzegorz.

Patrzył przez kółko, które sobie wychuchał wśród ostów i gwiazd mrozonego deseni na szybie. Nosił grube okulary, polar i wełnianą czapkę.

- Kto? – zapytała Magda.

Przed chwilą usiadła przy stole. Ale zaraz wstała. Krzesło było zimne, jakby wyrzeźbione z kości morsa.

- Syn Egigwy – wyjaśnił Grzegorz.

- A, ten młody Eskimos – mruknęła, podchodząc do okna, za którym widać było tylko biel.

Golf podciągnięty miała aż po czubek nosa.

Dopiero zeszli na dół. Wacek klęczał przy kominku, w którym suche drewno paliło się już jasnym płomieniem. Pachniało dymem. Widok i zapach zapowiadały ciepło, ale była to na razie tylko mglista obietnica.

- Rzeczywiście – powiedziała. – Musisz to zobaczyć, Wacek.

- A pingwiny? – zapytał, wrzucając do kominka wielką bukową kłodę.

- Pełno.

Wacek podszedł do okna. Jedną ręką otrzepywał trociny z kraciastej koszuli, w drugiej trzymał kubek z kawą.

- Powinniśmy dzisiaj wracać – powiedział.

Po trzech dniach śnieg przestał padać. Wyszło słońce, ale za to zrobiło się bardzo zimno. Gdzieś tam pod śniegiem ukrywały się szczyty, zbocza, doliny, lasy, drogi, strumienie, dziki, zające, jenoty i czerwony Ford Fiesta. W miejscu, gdzie go zaparkowali, wznosiło się teraz jakby igloo. Poza tym świeży śnieg pokrywał wszystko białym śpiworem strzelców górskich, a zimowe słońce, które wpadło w te strony tylko na chwilę, czyniło monochromatyczny krajobraz bardziej jaskrawym niż pocztówka z Dominikany.

- Szwajcarscy Robinsonowie, można by rzec – odezwał się Grzegorz, przecierając zaparowane okulary. – Gdybyśmy byli w Szwajcarii, rzecz jasna. Ale mnie to bynajmniej nie martwi. Każda albowiem epoka lodowcowa ma swój koniec...

- Oraz początek – przytaknęła Magda. – Najważniejsze, że mamy co czytać.

Duży pokój na parterze można było nazwać od biedy salonem. Jego wyposażenie stanowił stół, cztery krzesła, trzy fotele, kanapa, regał z książkami, kominek i nad nim martwa natura w jasnej ramie. Obok była niewielka kuchnia, a z niej przejście do szopy z drewnem i narzędziami. Na górze mieściły się dwie sypialnie i łazienka. Dom letniskowy był mały, drewniany, otulony śniegiem do połowy okien.

- Głodny jestem – powiedział Wacek – jak Bari, syn Szarej Wilczycy.

Popatrzył znacząco na Magdę. Magda popatrzyła znacząco na jego kubek.

- Zrobiłem tylko dla siebie, misiu polarny – powiedział. - Nie wiedziałem, czy chcesz. Bałem się, że zamarnie.

- A może ja lubię mrożoną? – droczyła się Magda. – Słyszałeś, Grzegorz? Nie wiedział, czy chce!

- Niebo nie zna wściekłości takiej, jak miłość w nienawiść zmieniona - westchnął Grzegorz. - Ni piekło nie zna furii takiej, jak kobieta wzgardzona...

- Dobrze – powiedziała Magda. - Szekspir?

- William Congreve.

- A zatem śniadanie i kawa? – zapytał Wacek.

Skinęła głową.

Mężczyźni poszli do kuchni, a Magda usiadła na kanapie. Dwa okna we frontowej ścianie wpuszczały teraz sporo światła. Po kilku chwilach Magda poczuła wreszcie przyjemne ciepło bijące od kominka. Za godzinę, dwie, kiedy salon się rozgrzeje, będzie można już zdjąć golf a może nawet założyć futrzane kapcie, które kupiła po drodze na stacji benzynowej. Na razie nosiła trekkingowe buciory.

Sięgnęła za siebie i na chybił trafił wybrała z półki jedną książkę. Było to „Ślinienie” Stephena Koeniga. Dobra książka, ale przeczytała ją wczoraj. Wyjęła z niej fioletową zakładkę w żyrafki i odłożyła tom z powrotem. Nie patrząc, wylosowała następny. Tym razem był to romans „Surdut i pogrzebacz” Jane Aspen, jednej z jej ulubionych autorek. Magda uśmiechnęła się, usiadła wygodniej i zaczęła czytać.

Po kilku godzinach szyby odtajały na tyle, że biel na dworze można było widzieć wyraźniej. W salonie panowała cisza. Kominek buzował, słońce przesuwawało się nad górami. Magda, leżąc wygodnie, kończyła powieść Aspen. Grzegorz, przy stole, czytał jeden z tomów

sześćdziesięcioksiągu fantazy „Kamienne skały” Benwenuty Ścibałło. Wacek zaś siedział na krześle obok kominka, z nogami na drugim krześle, podjadał chipsy i pochłaniał „Portfolio frajera” - sensacyjną historię pióra kolumbijskiego prozaika, Alejandro Astronave.

Wieczorem znowu zaczął padać gęsty, ciężki śnieg.

\*\*\*

Piątego dnia rano Wacek, jak zwykle, rozpałił w kominku. Potem wyjrzał przez okno. Zobaczył to samo, co zawsze – biel.

- Ciągłe pada – westchnął.

- Zgodnie z prognozą – powiedziała Magda. – Im bardziej pada śnieg, bim bom, tym bardziej prószy śnieg, bim bom...

Włożyła zakładkę w żyrafki do powieści obyczajowej Euthanasiosa Paralidakosa „Nie tym razem, Amando” i odłożyła książkę na stół.

- Wygląda na to, że musimy tu posiedzieć jeszcze parę dni – dodał Wacek.

- Nie mam nic przeciwko temu – odezwał się Grzegorz, podnosząc wzrok z nad „Czterdziestu buchalterów”



Jurgena Schmetterlinga. – W pracy wiedzą, co się ze mną dzieje. Więc co? Tylko jeść, spać i czytać. Super wakacje. Czegoż chcieć więcej?

- Ale zapasy się kończą – powiedział Wacek.

- Co ty gadasz, misiu polarny – zaproponowała Magda. – Lodówka jest pełna, a w szopie mnóstwo drewna.

- Mówię o książkach...

- O matko! – westchnął Grzegorz i sprawdził szybko ilu mu jeszcze zostało „Buchalterów”.

Ze sześciu...

- Ale... - zachnęła się Magda.

Wstała i zaczęła nerwowo przeglądać tomy na półkach.

- Masz rację – powiedziała po chwili. – Wszystkie przeczytałam. Co teraz będzie? – zapytała płacząco.

- Chyba musimy zacząć racjonować lektury. Czytać wolniej. Używać ich wtórnice...

- Ale to nigdy, nigdy, przenigdy nie jest to samo! – zawołał histerycznie Grzegorz i ukrył twarz w dłoniach.

- Książka nie warta tego, by ją dwa razy przeczytać, nie jest warta, by przeczytać ją raz – powiedziała Magda.

- Tak się tylko mówi... Tak się tylko łatwo mówi...

- Wiem...

- Weź się w garść, człowieku! – huknął na okularnika Wacek. – I ty też, kobieto! – dodał po chwili, widząc, że ramiona Magdy zaczynają spazmatycznie drgać. – Obiecuję wam – dodał już trochę spokojniej – że was z tego wyciągnę. Że za tydzień, dwa, będziemy sobie siedzieć w jakiejś zacisznej czytelnicy i będziemy się serdecznie śmiać z naszej przygody...

Zapanowało ponure milczenie.

\*\*\*

Następny rano był jeszcze gorszy. Śnieg padał nadal. Magda, mimo że starała się czytać jak najwolniej, skończyła już dawno „Nie tym razem, Amando” i obecnie studiowała etykietkę na słoiku majonezu. Grzegorz tymczasem usiłował zadowolić się lekturą instrukcji obsługi gaśnicy.

Wacek kończył śniadanie, złożone z płatków kukurydzianych, do których czytał sobie ich opakowanie. Potem wstał od stołu i po raz kolejny spróbował otworzyć drzwi wejściowe. Zablockowane były od zewnątrz potężną zaspą.

- Słuchajcie – wysapał Wacek. – Jest szansa. Tylko musimy dostać się do samochodu.

- Ale przecież i tak nigdzie nie pojedziemy! – krzyknęła Magda. – Zrób coś. Ja już jestem u kresu!

Lektura zawartości lodówki źle na nią wpływała. Zdecydowanie wolała prozę od poezji. Poza tym raz, przez pomyłkę, wetknęła do majonezu swoją ulubioną zakładkę.

- W samochodzie są mapy – powiedział Wacek. – Dużo map...

- No to co? – rzucił ponuro Grzegorz.

- Tam są legendy.

- A legendy – zauważyła Magda – to prawdziwe historie, które wydarzyły się dawno, dawno temu...

- Tak – zgodził się Wacek. - Poza tym opakowania z żarówkami, bezpieczniki. Opisy w wielu językach – kusił.

- Ale są rzeczy znane i nieznane, a między nimi są drzwi. I musimy je otworzyć.

- No, dobra – zgodził się niechętnie Grzegorz i odłożył gaśnicę.

Poszli do drewnutni poszukać narzędzi. Wacek znalazł szpadel, a Grzegorz dwie strony gazety „Głos Ludu” z piętnastego lipca tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątego ósmego roku w starym kaloszu leżącym za stertą drewna.

- Genialne! – zawołał Grzegorz przeglądając pożółkłe strony. – Jest nawet powieść kryminalna w odcinkach „Którędy do piekła?”. Porucznik Służby Bezpieczeństwa, Jan Kozon, walczy z agentami NRF. Co to jest NRF?

Wacek zaklął cicho jak bosman Nowicki. Wiedział, że nic teraz Grzegorza nie oderwie od porucznika Kozonia.

Wszystko musiał zrobić sam. Założył kurtkę, czapkę, rękawice i grube buty. Wydostał się z domu przez okno i wpadł po pas w śnieg. Po godzinie kopania szpadlem, otworzył w końcu drzwi domku.

Zzianym i zadowolonym, zajrzał do środka. Popatrzył na dwie postacie tak zaczytane, że można by je niemal nazwać literackimi. Rzucił soczystym bluzgiem godnym bohatera współczesnej prozy i zaczął przekopywać się w stronę samochodu. Towarzyszył mu Jack London, James Oliver Curwood oraz Alina i Czesław Cętkiewiczowie.

Dzięki ich patronatowi późnym popołudniem dokopał się do drzwi Forda. Otworzył je i wśliznął się do

środka samochodu. Panował tam półmrok. Lampka na suficie świeciła słabo. Silnik nie chciał zapalić. „Trzeba będzie wyjąć i naładować akumulator”, pomyślał.

Ale były ważniejsze rzeczy do zrobienia. Przeszukał schowki i znalazł cztery mapy oraz opakowanie żarówek. Już miał wysiadać, kiedy coś załśniło za siedzeniem. Sięgnął i po chwili trzymał w ręce Pierwszą Nagrodę Za Wytrwałość: wymięty i poplamiony, ale za to gruby „Atlas chorób buraka” - pracę zbiorową z rycinami, tabelami i bibliografią. Ktoś ją zostawił ze dwa lata temu w Wacka samochodzie i nie próbował nigdy odzyskać. Przez ten czas książka pojawiała się i zniknęła. A to była w jakimś schowku, a to w bagażniku, a to na tylnej półce. Wacek kilka razy chciał ją nawet wyrzucić, ale jakoś nigdy się na to nie zdobył.

Teraz zrozumiał, że nie należy sądzić książki po obwolucie czy tytule. Bogato ilustrowany poradnik dla rolników nabrał w jego oczach zupełnie nowej wartości. Wacek nie spodziewał się wprawdzie zbyt wartkiej akcji, ale książka na pewno zawierała wiele pożytecznych informacji. „Poza tym”, myślał, „im nudniejsza, tym dłużej będę ją czytał.”

Wrócił do domu, rzucił ostentacyjnie łup na stół i poszedł zmienić przemoczone ubranie.

Po kwadransie wkroczył do salonu w świeżych spodniach i koszuli. Miał też kubek herbaty oraz zamiar spędzenia reszty wieczoru w wygodnym fotelu, rozkoszując się lekturą „Atlasu” i zawistnymi spojrzeniami pozostałych.

Ale książki na stole nie było. Były mapy, były żarówki. Brakowało tylko „Atlasu”.

Wacek stał w bezruchu przez minutę.

- No, dobra – roześmiał się sztucznie. – Gdzie ona jest?

- Kto? – zapytała Magda.

Grzegorz udawał, że nie słyszy. Jak gdyby stojąca przed nim na stole gaśnica była warta, żeby przeczytać ją raz.

- To jest zwykłe chamstwo! – oburzył się Wacek. – Pięć godzin się do niej dokopywałem, a wyście sobie siedzieli w ciepłe. Oddawajcie natychmiast!

- O czym ty mówisz? – grał nieudolnie Grzegorz.

- Dobrze wiesz! Idę teraz do kuchni. Kiedy wrócę, ma leżeć na stole. Rozumiem, że jesteście na głodzie, ale są jakieś granice...

Poszedł do kuchni. Pogwizdując ostentacyjnie postukał o siebie parę razy dwoma kubkami. Gniew w nim wzbierał. Odczekał jeszcze chwilę i wrócił do salonu. Na stole nic się nie zmieniło.

Nie mógł uwierzyć, że mu to zrobili. Jego dziewczyna, z którą mieli przecież tyle wspólnego. I jego najlepszy przyjaciel, od podstawówki członek tych samych bibliotek. To nie było fair. To było po prostu podłe.

Ogarnęła go mordercza wściekłość. Najpierw jego wzrok zatrzymał się na siekierze, stojącej obok kominka. Ale po sekundzie Wacek wpadł na lepszy pomysł. Wiedział, co zaboli najbardziej: nagłym ruchem porwał ze stołu zakładkę w żyrafki.

- Gadaj gdzie to jest, bo... - zagroził.

Magda zbladła.

- Opamiętaj się – wyszeptała. – Możemy się jakoś dogadać. Czytać na zmianę czy coś...

- Nigdy! Ja ją znalazłem i jest moja. Moja! Rozumiesz?

Magda wstała, wyciągnęła do niego rękę.

- Oddaj zakładkę. Wiesz, że to moja ulubiona...

- Oddaj atlas, dostaniesz zakładkę. Liczę do trzech...

Policzył do trzech i cisnął zakładkę do kominka. Zajął się natychmiast, błysnęła fioletowym płomieniem i zniknęła w żarze.

Magda wydała zduszony jęk, zatrzepotała powiekami, upadła i uderzyła głową o kant kominka.

- A więc to nie ona! – krzyknął Wacek, ocierając pianę z ust. – Zostałeś tylko ty! Oddawaj!

- Pieprzony Gollum! – zawołał Grzegorz, wstając. – Odbiło ci? Ona chyba nie żyje!

W odpowiedzi Wacek zerwał mu z twarzy okulary, rzucił je na podłogę i rozdeptał obcasem.

Kiedy przestał już pastwić się nad szkłem, podniósł wzrok. Tylko po to, by zobaczyć czerwień gaśnicy zbliżającą się szybko do jego głowy.

Grzegorz, trzema ciosami zadanymi na oślep, pozbawił Wacka życia.

Potem, macając w powietrzu rękami, bo jego byłe okulary były naprawdę bardzo grube, Grzegorz zrobił trzy kroki w stronę kominka, potknął się o ciało Magdy, upadł i wbił sobie w czoło ostrze siekiery. Z pod polaru wysunął mu się wówczas „Atlas chorób buraka”. Zapanowała śmiertelna cisza. Tylko ogień w kominku cicho szumiał, a



na dworze śnieg bezszelestnie zasypywał z powrotem Forda Fiestę.

Wszyscy troje nie żyli jeszcze przez dobrych dziesięć minut.

Potem wstali. Przeprosili się. Otrzepali sobie nawzajem ubrania, otarli krew. W małym domku wśród zaśnieżonych gór znów zapanowała zgoda, śmiech i przyjaźń. Bo „kto czyta książki, żyje podwójnie” (Umberto Eco).

## **Polska A**

- Nie, nie, nie i jeszcze raz nie! - rozujadała się Iza. - Przecież to się zupełnie nie nadaje! No, nie nadaje się! W życiu czegoś tak durnego nie widziałam!

Tu bym akurat polemizowała, bo wiele wskazuje na to, że Iza spędza codziennie długie, frustrujące godziny przed lustrem. Ale może ona dostrzega w tafli coś zupełnie innego niż pozostali.

Rzecz polega na tym, że dostałam elektroniczny list od czytelnika. To rzadkość, bo przeważnie otrzymujemy korespondencję na kartkach z zeszytów lub z jakichś pradawnych papeterii. Przeczytałam go pobieżnie i wydał mi się na tyle interesujący, że postanowiłam go wydrukować i pokazać szefowej.

Co jakiś czas ogłaszamy konkursy z nagrodami. Przeważnie daje to rezultaty żalosalne. Nie to, że nie piszą. Przysyłają, a jakże...

Gospodynie domowe i emeryci sięgają po ołówki czy flamastry pożyczzone od wnuków i próbują opisywać swoje życie, mozolnie przypominając sobie litery alfabetu w nadziei wylosowania lodówki. Efekty tej żmudnej pracy są przeważnie żenujące. Okazuje się, na przykład, że największą przygodą kuśnierza ze Skierniewic było wygranie w latach sześćdziesiątych zegarka na loterii. Bez puent, bez sensu, o kompozycji przypadkowej, okraszone podstawowymi błędami, „utwory” te mówią jednak wiele o autorach i ich środowisku. Uświadamiają mi też z całą jaskrawością, dla kogo pracuję. Czasem zdarzy się wzruszająca w swej naiwności historia. Wtedy staram się

ją opublikować. Nie zawsze mi się udaje, bo Iza to – co tu kryć – apodyktyczna suka. Kiedy ma zły humor, wyżywa się na podwładnych, a kiedy ma dobry, traktuje nas w sposób ubliżająco protekcyjnalny. Merytorycznie jest żadna. Nie kieruje naszym działem w jakiś przemyślany sposób, lecz na zasadzie menstruacyjnych impulsów i widzimisiów (sic!). Nigdy nie wiem, co jej się spodoba, a co nie. Ale może po prostu nie jestem w stanie nadażyć za tym geniuszem w spódnicy z wyprzedaży?

List od Inżyniera z Warszawy był na temat „Wakacje”. Przeczytałam go na wydruku. Spodobał mi się. Miał – jak na nasze pismo – niezwykle złożoną budowę, a ponadto początek, środek i koniec oraz nie zaczynał się od słów: „Poszłem do szwagra pić ankochol gdy ftem...” Zaniósłam go Izie.

Szanowna Redakcjo – pisał Inżynier – jako umysł ścisły nie mam skłonności do konfabulacji. Poza tym mam bardzo dobrą pamięć i odtwarzam wszystko z fotograficzną dokładnością. Miałem też przy sobie aparat cyfrowy marki Samsung i w razie potrzeby mogę przesłać zdjęcia w odpowiedniej rozdzielczości.

W zeszłym roku, a dokładniej w lipcu, podczas urlopu wypoczynkowego w miejscowości Darłuwko nad Morzem Bałtyckim, przytrafiła mi się bardzo dziwna przygoda. Poszliśmy z dziećmi na lody. Była duża kolejka, bo zbliżało się południe, środek sezonu. Wczasowiczów było bardzo wielu i dużo samochodów zaparkowanych wbrew przepisom na chodnikach. Usiadłem na betonowej barierce i przyglądałem się ludziom. Za moimi plecami znajdowało się Morze Bałtyckie. Obok mnie usiadł jakiś miejscowy. Od razu było widać, bo miał długie spodnie i koszulę. Przyjechał na rowerze składaku „Czajka” z przyczepką własnej roboty. Powiedział, że jest gorąco. Ja na to, że no. Zaczęliśmy rozmawiać o pogodzie. Potem zapytał skąd jestem. No to ja, że z Warszawy. A on, gdzie to jest. Więc ja, że koło Grójca. Zapytał, czy przyjechaliśmy pociągiem. Powiedziałem, że samochodem. Potem zaczął mi opowiadać o swoim rowerze i wózku i o tym, czego to ludzie nie wyrzucają. Strasznie brzydko się przy tym wyrażał. Moje dzieci wciąż stały w kolejce. Miejscowy był mały, podniszczony, niemłody. Chyba trochę upośledzony, ale nie jestem pewien. Znowu zaczął

opowiadać o tym, czego to ludzie nie wyrzucają. Okazało się, że jest zbieraczem puszek, butelek, bursztynu, drobniaków itp. Narzekał, że musi bardzo wcześnie wstawać. Potem znowu mnie zapytał, skąd przyjechałem. Powtórzyłem, że z Warszawy. Dzieci były już przy okienku. Wtedy miejscowy powiedział, że jak już jestem z tej Warszawy, to on coś dla mnie ma.

Zaczął szukać czegoś w kieszeniach koszuli. Potem wstał i wywrócił kieszenie spodni. Miał tam różne rzeczy – śrubki, sznurki, scyzoryk. Miał też pogniecione kawałki papieru. Podał mi je uroczyście. Zapytałem go, co to jest. Powiedział, że list z butelki, którą wyłowił z morza kilka dni temu. Butelkę sprzedał w punkcie skupu surowców wtórnych. Nie bez trudu, bo była jakaś dziwna. On to ujął zupełnie inaczej, a moje dzieci, które były wtedy mniejsze niż teraz, szły już do nas z lodami.

Schowałem list do kieszeni i powiedziałem, że muszę iść. Wtedy okazało się, że to nie był tak do końca prezent. Właściwie wiedziałem od początku, że tak będzie. Ale trzeba przyznać, że podszedł do sprawy

finezyjnie. Dałem mu piątaka na przysłowiowe piwo i natychmiast zapomniałem o nim i o liście z butelki.

Dopiero w domu, po powrocie z wakacji, karteluszeki zostały znalezione przez moją małżonkę, kiedy szykowała pranie.

Przeczytałem list kilkakrotnie i wtedy zacząłem żałować, że nie wypytałem miejscowego dokładniej. Szkoda też, że sprzedał butelkę. Poza tym list jest w złym stanie zachowania. Papier jest wymięty i poplamiony. Brakuje początku, a podpisy są nieczytelne. Miejscowy go raczej nie napisał. Za dużo roboty na pięć złotych. W razie potrzeby mogę go udostępnić Redakcji, bo go jeszcze mam. Brzmi tak:

„Fale wielkie jak domy miały naszym jachtem. Pioruny waliły seriami. Złamało nam maszt i zmyło za burtę większość załogi, w tym kapitana i bosmana.

Po dwóch dobach, kiedy burza zaczęła się uspokajać, na wraku jachtu pozostały tylko dwa wraki ludzi – ja i Janek. Na szczęście poszycie łajby wytrzymało. Trochę wprowadzie ciekło tu i tam, ale

załataliśmy dziury czym się dało i wypompowaliśmy wodę. Nie groziło nam już zatonięcie i wreszcie mogliśmy się położyć. Padliśmy na koje i spaliśmy kilka godzin.

- No i co dalej? – zagadnął Janek, kiedy się wreszcie obudziliśmy.

Siedzieliśmy w zrujnowanej mesie. Jedliśmy suchary i popijaliśmy grogiem złożonym głównie z rumu..

- Sądząc po słońcu znosi nas na południe – odparłem. – Ku Antarktydzie...

Kilkudniowy zarost drapał w twarz. Wilgotne, słone ubranie nie pozwalało zapomnieć o minionej burzy. Pomyślałem o losie trzech naszych towarzyszy, którzy wylądowali za burtą. Janek chyba myślał o tym samym, bo niemal jednocześnie sięgnęliśmy po kubki i wzięliśmy po porządnym łyku.

- Cała elektronika wysiadła – oznajmił Janek. – Nie mamy łączności. Nie wiem, gdzie jesteśmy.

- Gdzieś na południowym Pacyfiku – usiłowałem zażartować.

Janek skwitował mój żart ponurym grymasem.

- Jak się morze bardziej uspokoi, spróbuję uruchomić silnik – powiedział.

Mieliśmy mały japoński silniczek spalinowy do manewrowania w porcie. Po jakimś czasie Jankowi rzeczywiście udało się go włączyć. Postanowiliśmy płynąć na wschód, w kierunku Ameryki Południowej.

Jedzenia i wody mieliśmy w bród, bo zapasy były obliczone dla pięciu osób. Natomiast paliwo do silnika wkrótce się skończyło. Zostawiliśmy kilka litrów benzyny na wypadek, gdyby pojawił się wreszcie ląd. Zrobiliśmy z wiosła coś w rodzaju masztu i próbowaliśmy żeglować, ale marnie to wychodziło, bo jacht był za duży. Mimo, że płynęliśmy własną łodzią i spaliśmy we własnych kojach, byliśmy rozbitkami dryfującymi w nieznane.

Minęły prawie dwa tygodnie, aż wreszcie na horyzoncie pojawiła się jakby podłużna ciemna chmura.

- Krzysiek, to chyba ziemia! – zawołał Janek.



Po kilku długich dniach widać już było wyraźnie żółte, piaszczyste plaże i sosnowe lasy w głębi lądu. Krajobraz tak przypominał wybrzeże Bałtyku, że zaczęliśmy jeszcze bardziej tęsknić za domem.

A potem pojawił się statek. Płynął prosto do nas.

Janek pierwszy dorwał się do lornetki. Nastawił ostrość, po czym oderwał instrument od oczu i potrząsnął głową.

- Nie! – mruknął. – To niemożliwe!

Spojrzał jeszcze raz.

- Chyba mi odbija – powiedział. – Masz, popatrz.

Wziąłem lornetkę.

Płynął ku nam mały okręt straży przybrzeżnej. Z początku nie zorientowałem się, że coś jest nie tak. Tyle razy przecież widziałem podobne jednostki.

- No, o co chodzi? – zapytałem.

- Władysławowo! – wykrzyknął.

Rzeczywiście, na burcie statku znajdował się napis »Władysławowo«. A na maszcie polska bandera.

- O matko! – dotarło do mnie wreszcie. - Polska straż przybrzeżna.

Janek zabrał mi lornetkę.

- Nawet nie »Władysławowo«, tylko »Władywłasowo« – rzekł po chwili. – Napisu wymalować porządnie nie potrafią!

- Rodacy... – powiedziałem ze wzruszeniem.

- Czy to możliwe – myślał głośno Janek – że nas tak zniosło?

- Wierzyć się nie chce. Tysiące mil...

Nie chciało się wierzyć, ale wystarczyło się rozejrzeć, żeby uwierzyć. Morze zmieniło jakby barwę i stało się bardziej jakieś szare. Zaczerpnąłem wodę zza burty. Spróbowałem. Woda miała smak bałtycki - małe zasolenie, duże zanieczyszczenie. Na brzegu dostrzec

można już było latarnię morską i zabudowania miasteczka. Typowo pomorska architektura.

- Jakkolwiek się to stało – powiedział Janek – za parę godzin będziemy w domu.

Załoga kutra straży składała się z kilku blond wachali, którzy dosyć poprawną polszczyzną zażądali od nas dokumentów, a następnie wzięli nasz jacht na hol. Po trzech godzinach znaleźliśmy się w porcie. Szybko załatwiliśmy formalności w kapitanacie. Urzędnicy traktowali nas, jakbyśmy mieli kłopoty podczas zwykłego rejsu po Bałtyku. Powiedzieli, że wszczynają poszukiwania zaginionych członków załogi.

Zostawiliśmy jacht w porcie, zabraliśmy najpotrzebniejsze bagaże i wreszcie znaleźliśmy się tak naprawdę na lądzie. To było dziwne uczucie – chodniki wcale się nie kiwały.

Miasteczko sprawiało bardzo miłe, schludne wrażenie. Wyplaciliśmy trochę pieniędzy z bankomatu, i podładowaliśmy komórki. Mieliśmy wyjątkowego pecha.

U mnie nikt nie podnosił słuchawki, a Janek zamiast do siebie ciągle się dodzwaniał do jakiejś starej jędry.

Szliśmy w kierunku dworca kolejowego, ale dostrzegliśmy wypożyczalnię samochodów i wzięliśmy małą Toyotę. Janek miał prowadzić pierwszy, więc jeszcze skoczyłem do kiosku po gazetę i ruszyliśmy. Czekaliśmy kilka ładnych godzin jazdy do Warszawy.

Lato było w pełni i pagórkowate pejzaże wyglądały bardzo pięknie. Tym piękniej, że znaleźliśmy się tu jakimś cudem. Po pewnym czasie nasyciłem się widokami i sięgnąłem po lokalną gazetę »Dziennik Bałtyjski«.

- To jakaś satyra, cholerka – powiedziałem do Janka. – Co oni tu wypisują! Wszystko pokręcone!

- Poczytaj – zaproponował Janek.

- No, powiedzmy tu – wybrałem artykuł z pierwszej strony. – Premier Dysk spotkał się z prezydent Komornicką aby przedyskutować obniżenie podatków z 3 do 1,5%.

- Takie sobie – roześmiał się Janek. – Czytaj dalej.

- Polska sprzedała USA kilka samolotów wojskowych.

- Chyba na odwrót?

- Nie. Tak tu piszą ci satyrycy.

Janek chciał sam poczytać, więc ja siadłem za kierownicą i ruszyłem ostro, jak to ja.

- Hej, wyluzuj! – zawołał Janek. – Nie daliśmy się burzy na Pacyfiku, a mamy zginąć na Kaszubach?

- Dlaczego od razu zginąć? – udawałem głupka, ale zwolniłem. – A jeśli chodzi o gliniarzy, to mam stówkę w prawku. Starą, pocziwą stówkę. Jeszcze sprzed rejsu... O w dupę!

Stali we wsi za zakrętem. Zamachali lizakiem.

Starszy z nich zajął się oglądaniem dokumentów, drugi zaczął rozmowę:

- Teren zabudowany, proszę pana. Oprócz tego ograniczenie do czterdziestu. A wie pan, ile pan jechał? Osiemdziesiąt trzy.

»Gdyby nie Janek, to bym leciał sto pięćdziesiąt«, pomyślałem.

- Zagapiłem się – powiedziałem pokornie. – Dopiero co zeszliśmy na ląd...

- We Władysławowie – dorzucił Janek.

- Władysławowie? – upewnił się policjant. – Marynarze?

- Żeglarze.

- Tu nie morze. Tu obowiązują przepisy ruchu drogowego.

Starszy policjant nagle zagwizdał pod nosem. Podszedł do auta trzymając moje prawo jazdy i banknot stuzłotowy.

- Fiu, fiu – powiedział. – Ciekawe znalezisko.

Rzuciłem okiem na Janka. Minę miał niewyraźną. Czyżby szykowała się jakaś chryja?

- Czy pan wie, że korupcja w naszym kraju karana jest śmiercią? – zapytał groźnie. – Gazet się nie czyta, co?

»Ach, więc to żartowniś«, pomyślałem z ulgą. »A jaki przedni aktor!«

Roześmiałem się.

- Gdyby tak było, to kto by pozostał przy życiu?

Puściłem do niego oko.

Nie zareagował.

- Uczciwi obywatele – odparł poważnie.

To było jak senny koszmar. Zachowywałem się normalnie, a wszystko, co robiłem wywoływało jakieś nieprzewidziane, groźne skutki.

Młodszy policjant spojrział na banknot.

- No, co ty, Stachu, przecież to podróbka. Nawet nie fałszerstwo. Popatrz tu i tu. Pewnie w chipsach było?

- Masz rację! – roześmiał się ten starszy. – Ale dałem się nabrać! Ha, ha!

Podeszli do auta. Oddali mi papiery.

- No, ubawił nas pan – powiedział starszy. – Mandat w wysokości trzystu złotych już został ściągnięty z pańskiego konta. Szerokiej drogi.

Zasalutowali. Ruszyłem. Ale po kilku kilometrach skręciłem w boczną drogę. Zatrzymałem samochód. Wyciągnąłem prawo jazdy i stówkę. Obejrzałem ją ze wszystkich stron.

- Podróbka? – zapytał Janek.

- Nie. Normalna stówka.

- Pokaż.

On także nie dostrzegł nic podejrzanego.

Nagle główną drogą przeleciał wóz policyjny na sygnale. Czy jechał naszym śladem? Janek wyciągnął z portfela pieniądze, które wybraliśmy z bankomatu we Władysławowie. Była wśród nich jedna stówka.

- To ta wygląda jak z chipsów – powiedział Janek. – Albo ze słonecznika... Pamiętasz? Były takie z dolarami...



Wyrwałem mu banknot. Na pierwszy rzut oka był bardzo podobny, ale kiedy przyjrzałem się mu uważniej, dostrzegłem kilka wyraźnych różnic: kolor, rysunek, wyraz twarzy Jagiełły.

- Zaczyna mnie to wkurzać! – zawołałem. – Pokaż mapę.

Janek sięgnął do schowka. U nasady Helu znaleźliśmy, cholera, Władysławowo. Bardziej na południe znajdował się Grozów Wielkopolski, a zamiast Suwałk były jakieś Szaławilki.

- Teraz daj gazetę – zakomenderowałem.

Po chwili znalazłem informację, której szukałem.

- Przeczytaj tutaj – pokazałem Jankowi palcem.

- Wczoraj o świcie wykonano wyrok śmierci przez rozstrzelanie na dwudziestu prominentnych działaczach Polskiego Związku Piłki Nożnej... No i co? To jest wręcz niesmaczne...

- Jeszcze nie rozumiesz? To nie jest żadna satyra. To jest normalna gazeta. A to nie jest mapa zrobiona przez pijanych kartografów, tylko normalna mapa tej Polski.

- Jakiej tej?

- No tej. Jakiejś lewej. Ja wiem? Od początku coś mi nie grało. Niby wszystko w porządku, tylko te drobne różnice. Przecież to niemożliwe, żeby sztorm rzucił nas aż do kraju. Chyba, że to jest jakaś cholernie alternatywna rzeczywistość.

Główną drogą znowu przemknął policyjny samochód. Tym razem jechał w przeciwnym kierunku. I wolniej.

- Coś mi się wydaje – powiedział Janek – że oni nas szukają.

- Jeśli za korupcję jest kara śmierci, to wolę nie myśleć, co jest za fałszowanie dokumentów, kart kredytowych, za szpiegostwo...

- Jezu – jęknął Janek. – Masz rację. Do wszystkiego się mogą doczepić. Spieprzajmy stąd.

Pojechaliśmy jeszcze kawałek leśną drogą. Ukryliśmy samochód, zmieniliśmy ubrania i poszliśmy dalej pieszo. Mieliśmy jeszcze trzy komplety dokumentów po naszych kolegach z załogi i zamierzaliśmy je wykorzystać, jeśli będzie trzeba.

Piechotą, potem autostopem, trochę koleją, trochę PKS-em przemieszczaliśmy się na zachód, w kierunku granicy z Niemcami.

Z Warszawą daliśmy sobie od razu spokój. Policja znała mój adres i jeśli ktoś czekał na mnie w domu, to na pewno nie moja żona.

Udało nam się bardzo łatwo zainstalować za granicą, bo Niemcy to straszne flejtuchy. Nie używają w ogóle rodzajników i stanowczo za dużo piją. Niemcy są wprawdzie krajem biednym i chaotycznym, ale myśmy się tu całkiem dobrze zaaklimatyzowali.

Co nie znaczy, że nie tęsknimy za domem. Czasem na lewych papierach jeździmy do tej tu Polski, ale pobyt tam tylko pogłębia nostalgię. Zresztą nie tylko Polska i Niemcy są tu takie. Podróżowaliśmy po Europie, bo

mieliśmy nadzieję, że się jakoś wydostaniemy do naszego świata. Wyobrażaliśmy sobie, że – powiedzmy – Holandia albo Włochy się nie zmieniły. A wówczas wystarczy wsiąść do samolotu i obudzić się w normalnej Warszawie. Ale kiedy ekspres wjechał na dworzec w Mediolanie punktualnie, a milczący pasażerowie zaczęli we wzorowym porządku opuszczać wagon, wiedziałem, że nie mamy po co wysiadać.

Wygląda na to, że uratować nas może tylko nieziemski sztorm na południowym Pacyfiku, ale na razie brak nam funduszy na nowy rejs. Chyba się zaciągniemy jako marynarze na jakiś statek. Tymczasem wrzucamy do morza tu, w Chamburgu, nasz list we właśnie co opróżnionej butelce po »Rzytniej«. Rodacy, strzeżcie się mórz południowych!”

Końcówka listu jest bardzo zniszczona. Kilku zdań nie udało mi się odczytać. To samo dotyczy dwóch podpisów, które resztki „Rzytniej” albo morska woda zupełnie rozmyły.

Albo, co najbardziej prawdopodobne, zostały one celowo zatarte przez autora tego żartu. Zastanawia mnie, kto i po co zadał sobie niemało przecież trudu, wymyślając tę nieprawdopodobną historię i fabrykując list. Czy rzeczywiście wrzucił go w butelce do wody, czy też wynajął miejscowego, żeby go rozprowadzał wśród wczasowiczów? Czy jest to rodzaj manifestu politycznego? Utopia (w opowieści tej występują w sumie duże ilości głębokiej wody i trzech topielców)? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy. Ale myślę, że jeśli autor chciał wprowadzić kogoś w błąd, jeśli chciał, żeby ktoś w to wszystko uwierzył, to powinien bardziej zadbać o niektóre szczegóły. Dla mnie, warszawiaka, sprawa jest prosta. Mieszkam tu już ponad czterdzieści lat, od urodzenia. Znam tu wszystkich. W naszej wsi większość mieszkańców to rolnicy. Parę osób (w tym ja) dojeżdża do pracy w dużych aglomeracjach jak Grójec czy Pruszków. Ale nikt z nas nigdy nie żeglował po Pacyfiku! Dziwna historia, prawda?

Inżynier z

Warszawy, gmina Legionowo, lat 42

- Beznadziejne – powiedziała Iza. – Do kubła!

Właśnie naciskam delete.

## **Terapia grudniowa**

Doktor: Wygodnie panu?

Pacjent: Dziękuję. Godne posłanie.

Doktor: Zacznijmy od tych zwierząt w poczekalni...

Pacjent: Pokryję kosztą wszelkich zniszczeń.

Doktor: Na razie są spokojne.

Pacjent: To roślinożerne bestie.

Doktor: OK. Zostawmy to. A pańska matka?

Pacjent: Była cnotliwą szlachcianką kapadocką. O jej życiu nie wiadomo zgoła nic.

Doktor: Zawsze pan tak się ubiera?

Pacjent: Kiedyś odziewałem się inaczej. W tym kłopot.

Doktor: To znaczy?

Pacjent: Zauważyłem już dawno, że stopniowo następuje sekularyzacja mej sukni.

Doktor: Sukni? Ciekawe... A co z bielizną?

Pacjent: Czy to ważne?

Doktor: Czasem, rzekłbym, kluczowe, hm...

Pacjent: Ale... Nie bardzo rozumiem.

Doktor: Chodzi o to, co pan nosi pod kostiumem.

Pacjent: Znaczy pod tym czerwonym?

Doktor: Dokładnie.

Pacjent: Eee, nie pamiętam. Raczej rzadko tam zaglądam.  
Ale możemy sprawdzić...

Doktor: Nie!

Pacjent: Coś się stało?

Doktor: Nie! Tylko niech pan zapnie te guziki. Proszę...

Pacjent: Dobrze. Ale coś tam było. Widział pan?

Doktor: Tak. Widziałem. W domu pan sprawdzi i opowie mi na następnej sesji. OK, panie Santa? OK?

Pacjent: Zgoda, młody człowieku. Zapinam. Po co te nerwy?

Doktor: À propos! Santa? Czy to hiszpańskie nazwisko?

Pacjent: Chyba amerykańskie. Ale to nie jest moje nazwisko. Raczej rodzaj pseudonimu. Zresztą w rodzaju żeńskim, co rzuca cień na moją tożsamość seksualną... Nie wiem, czy włada pan łaciną?



Doktor: Mieliśmy na studiach... Trochę...

Pacjent: Barbarzyńska mowa. Twarda i bez melodii. Co innego grecki...

Doktor: Jest pan Grekiem?

Pacjent: Do pewnego stopnia. Rzekłbym raczej: poddanym bizantyńskim. Jeśli wie pan, co przez to rozumiem?

Doktor: Mniej więcej. Ale pomówmy o pańskim głównym problemie.

Pacjent: Ho, ho, ho. Moim głównym kłopotem jest to, że jestem nieszczęśliwy, a nie bardzo wiem dlaczego. Praca nie sprawia mi już takiej przyjemności jak kiedyś. Może po prostu się starzeję?

Doktor: Ile pan ma lat?

Pacjent: Około półtora tysiąca. Ale czasem, wie pan, czuję się, jakbym miał z pięć tysięcy...

Doktor: Z czym się panu kojarzy ryba?

Pacjent: Post. Chrześcijaństwo. Cud.

Doktor: Dzwoneczki?

Pacjent: Śnieg.

Doktor: Komin?

Pacjent: Sadza.

Doktor: Przepraszam, że tak zniecka. To taki test. Pierwsze skojarzenia... Wie pan...

Pacjent: Sadza. Tak. Sadza jeszcze jest do wytrzymania. Zresztą przodem puszczam zawsze Knechta Ruprechta. To taki mój niemiecki szperacz kominowy... Dużo gorsze są przewody wentylacyjne. Pełno tych takich jakichś szarych kłaczków. Obrzydlistwo. I odróżnij to potem od brody! Najbardziej lubię przenikanie przez szyby. Zwłaszcza czyste. Pokazać panu?

Doktor: Może lepiej nie...

Pacjent: Nie są idealne, ale...

Doktor: Stop! Nie! To jest dwudzieste piętro! Ja kategorycznie... O Matko Boska Święta!

Pacjent: Ho, ho, ho! Nie ma jak świeże powietrze!

Doktor: Dobra! Niech pan już wraca! Halo! Jezu, zamkną mnie, odbiorą mi licencję... Dostyc tych fikołków! Niech pan wraca! Słyszysz mnie pan?

Pacjent: Słucham?

Doktor: Cały! Cały niech pan przeniknie! Błagam!

Pacjent: Dobrze się pan czuje?

Doktor: Tak. Nie. Nie wiem.

Pacjent: Może wody?

Doktor: Poproszę.

Pacjent: Tu w tej flaszy?

Doktor: Nie. W tej przezroczystej. Albo nie. Niech będzie z brązowej.

Pacjent: Tyle?

Doktor: Jeszcze trochę. O tak. Dziękuję.

Pacjent: Lepiej?

Doktor: Nieznacznie. Hm. No więc przenika pan przez szyby i lewituje... I te renifery w poczekalni. I ten worek...

Pacjent: Tak, młody człowieku?

Doktor: To wszystko może znaczyć...

Pacjent: Tak? Powiedz to! Wyznaj!

Doktor: Że zwariowałem w końcu? Że ci wszyscy pojebańcy, co tu przychodzą wyplakiwać swoje smutne dzieciństwo, w końcu mnie czymś zarazili?

Pacjent: To zupełnie naturalna reakcja na zjawiska, których nie pojmujesz, mój synu.

Doktor: Synu?

Pacjent: Synu w sensie duszpasterskim. Jestem przecież biskupem z Azji Mniejszej. A właściwie byłem... Widzisz, ja się zmieniam. Dawniej odziewałem się jak biskup, bo ludzie wierzyli, że jestem biskupem. Teraz – popatrz na

mnie – jestem jakimś gigantycznym krasnałem ogrodowym z wyprzedaży w TESCO. Zostałem okradziony z mojego biskupstwa, z mojego wczesnego, wschodniego chrześcijaństwa o silnych tendencjach eremickich. Zostałem bohaterem przedpołudniowych komedii, w których tracę pamięć lub upijam się. Krótko mówiąc, robię z siebie błazna. A właściwie nie ja robię, tylko robią ze mnie. Gębę sobie mną byle kto wyciera. A te miliony sobowtórów pojawiających się na długo przed moim przybyciem, kiedy tylko supermarkety ogłoszą swoje pożałuj Boże narodzenie. A ci wszyscy rodzice z ich nieudolnymi próbami zastąpienia mnie, które kończą się tym, że dzieci przestają we mnie wierzyć. A kiedy przestają wierzyć we mnie, jednocześnie przestają wierzyć w wiele innych rzeczy. Ważnych rzeczy. Albo, co gorsza, w tę jedną cudowną noc, dzieci na granicy wiary i niewiary, czuwają, chcąc mnie przyłapać, co czyni moją i tak ciężką służbę, jeszcze cięższą i bardziej stresującą...

Doktor: Rozumiem.

Pacjent: Tak, mój synu. Żyję w stresie.

Doktor: Rozumiem.

Pacjent: I jestem starym frustratem.

Doktor: Bardzo starym.

Pacjent: Nie pomagasz mi, synu.

Doktor: Ale to fakt. Jesteś stary. Wierzę, że masz tyle lat, ile mówisz.

Pacjent: To bardzo piękne i proste confiteor, synu. Widzę, że warto było tu przybyć. Czuję się znacznie lepiej. Jakiś lżejszy, jaśniejszy. Bardziej uwierzytelniony? No, na mnie już czas... Ile się należy?

Doktor: Nie. Nie trzeba.

Pacjent: Trzeba, synu, trzeba. W życiu nie ma nic za darmo. No, masz, rozpakuj. Byłeś bardzo grzeczny.

Doktor: Łał! Helikopter na radio! Czerwony! Skąd wiedziałeś?